



FLASH FICTION

Flash fiction

Seria prozatorska pod redakcją Piotra Mareckiego

- Jerzy Franczak, *Trzy historie*
- Sławomir Shuty, *Bełkot*
- Łukasz Orbitowski, *Szeroki, głęboki, wymalować wszystko*
- Piotr Cegiłka, *Sandacz w bursztynie*
- Sławomir Shuty, *Cukier w normie*
- Michał Palmowski, *Przygody Hiszpana Dete*
- Michał Witkowski, *Lubiewo*
- Marta Dzido, *Małż*
- Marian Pankowski, *Rudolf*
- Maciek Miller, *Pozytywni*
- Ewa Schilling, *Głupiec*
- Adam Wiedemann, *Sceny łóżkowe*
- Jan Dzban, *Dentro*
- Piotr Szulkin, *Socjopatia*
- Marian Pankowski, *Bał wdów i wdowców*
- Jerzy Nasierowski, *Zbrodnia i...*
- Piotr Czernski, *Ojciec odchodzi*
- Maciek Miller, *Zakręt hipokampa*
- Łukasz Orbitowski, *Horror Show*
- Joanna Pawluśkiewicz, *Pani na domkach*
- Joanna Wilęgowska, *Zęby*
- Marta Dzido, *Ślad po mamie*
- Jan Krasnowolski, *Klatka*
- Marian Pankowski, *Pątnicy z Macierzyzny*
- Hubert Klimko-Dobrzaniecki, *Raz. Dwa. Trzy*
- Michał Zygmunt, *New Romantic*
- Joanna Pawluśkiewicz, *Telenowela*
- Jerzy Franczak, *Przymierzalnia*
- Wojciech Bruszewski, *Fotograf*
- Krzysztof Niemczyk, *Kurtyzana i piskłeta*
- Sylwia Chutnik, *Kieszonkowy atlas kobiet*
- Juliusz Strachota, *Cień pod blokiem Mirona Białoszewskiego*
- Natalia Rolleczek, *Drewniany różaniec*
- Marian Pankowski, *Niewola i dola Adama Poremby*
- Maciek Miller, *Cockring*
- Dominika Ożarowska, *Nie uderzy żaden piorun*
- Ewa Schilling, *Codzienność*
- Marian Pankowski, *Tratwa nas czeka*
- Piotr Szulkin, *Epikryza*
- Jerzy Franczak, *NN*
- Sławomir Shuty, *Jaszczur*
- Darek Foks, *Kebab Meister*
- Tomasz Pułka, *Vida Local*
- Ziemowit Szczerek, *Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian*
- Wojciech Bruszewski, *Big Dick. Fikcja dokumentalna*
- Jan Krasnowolski, *Afrykańska elektronika*
- Daniel Kot, *Kierunkowy 22*
- Marian Pankowski, *Nastka, śmieję się!*
- Opowiadania
- Sławomir Shuty, *Dziewięćdziesiąte*
- Łukasz Orbitowski, *Horror Show* [wyd. II popr.]
- Joanna Dziwak, *Gry losowe*
- Søren Gauger, *Nie to / nie tamto*
- Maciej Bobula, Katarzyna Gondek, Adam Miklasz, Aleksander Przybylski, Michał Zantman, *Bękart y Wołgi. Klechdy miejskie*
- Ziemowit Szczerek, *Siódemka*
- Juliusz Strachota, *Relaks amerykański*
- *Flash fiction. Antologia*

Flash fiction

Antologia

Korporacja Ha!art
Kraków 2016

Flash fiction. Antologia, Kraków 2016

Copyright © by the Authors, 2016

Copyright © for this edition by Korporacja Ha!art, 2016

Wydanie I · Printed in Poland · ISBN 978-83-64057-90-8

Redakcja serii · Piotr Marecki

Redakcja i korekta tomu · Filip Fierek

Projekt okładki · Agnieszka Zgud

Projekt typograficzny, skład i łamanie · Małgorzata Chyc | www.bymouse.pl

Wydawnictwo i księgarnia · Korporacja Ha!art

pl. Szczępański 3a, 31-011 Kraków

tel. 12 426 46 03 (księgarnia), 12 422 25 28 (biuro)

korporacja@ha.art.pl, www.ha.art.pl

Druk i oprawa · Drukarnia Eikon Plus

ul. Wybickiego 46, 31-302 Kraków

Od redakcji

Bum na *flash fiction* to czas MTV – telewizji, która nadała rytm całym latom 90. To wtedy w Stanach Zjednoczonych pisano *short short stories*, próbując w ten sposób odpowiedzieć na przemiany medialnego ekosystemu faworyzującego krótki, atrakcyjny przekaz. Literatura postanowiła po swojemu zareagować na zalew szumem informacyjnym i dostosować się do tempa pędzącej współczesności. Tradycja *flash fiction* nigdy nie dotarła do Polski, choć pod innymi nazwami piszący po polsku pisarze i pisarki uprawiali podobne ograniczone objętością formy ekspresji. Już w tradycji obrazków pozytywistycznych można znaleźć wiele wyznaczników gatunku – na przykład dążenie do uchwycenia momentu jak w błysku aparatu. Jak wiadomo, polska literatura słabo radzi sobie z fabułą, a rodzimi pisarze i pisarki są lepsi w modelu poetyckim prozy. Właśnie temu miał przeciwstawić się pomysł konkursu na *flash fiction* po polsku ogłoszony przez Ha!art przy okazji festiwalu Ha!wangarda 2015.

Do redakcji wpłynęło 155 prac. Jury w składzie Małgorzata Rejmer, Juliusz Strachota, Ziemowit Szczereki i Piotr Marecki wyróżniło nagrodą pięć z nich: *Etykiety* Zaliibaraka, *Arbuza* Istvana Vizvary, *Jednocześnie dwa fortepiany* Mikołaja Marii Manickiego, *Są wakacje* Małgorzaty Rybak oraz *W rzędach wagonów* Dariusza Wichowskiego. Teksty zostały opublikowane na portalu Korporacji Ha!art, a także w tym zbiorze. Niniejsza antologia – oprócz wyróżnionych prac – prezentuje wybór zgłoszeń, które redakcja uznała za najciekawsze.

Czytelnik i czytelniczka będą mieli szansę sprawdzić efekt wołania o teksty inne od poetyckich impresji czy zwięzłych opisów nastrojów. Organizatorowi chodziło o opowieść, fikcję, narrację z bohaterami, fabułą, zwrotami akcji i pointą. Szukaliśmy tekstów o długości przeciętnego wpisu na Facebooku, anegdoty opowiedzianej na imprezie, która dzięki zwięzłości byłaby w stanie utrzymać przez kilka minut uwagę wszystkich. Czytelnik rozstrzygnie, czy w dobie Snapchata polskie *flash fiction* bronią się, wpisując w ekoklimat mediów, czy też może te dwu- lub trzystronicowe formy swoim rozmiarem sprawiają już wrażenie dziewiętnastowiecznych narracji.

Istvan Vizvary

Arbuz

Kupiłem rano arbuza. Ledwo skurwiela do domu dotaszczyłem, musi z dziesięć kilo ważyć. Ale dojrzały jest jak trzeba i dźwięcznie odpowiada na pukanie w to specjalne miejsce, w które puka się arbuzy, żeby porozmawiać z nimi na straganie. Choć targu dobiejałem zdrowo przed południem, owoc zdążył już nagrzać się w porannym, lipcowym słońcu. Dlatego aż do tej chwili chłodził się w wannie.

Aby był pyszny. Aby nam dał zadowolenie.

Postanowiłem rozłupać go maczetą. Wisi biedaczka na ścianie od tysiąca lat z okładem, przemycona przez mamę cioci wujka z Turcji czy innego Azerbejdżanu. Musi jej się tam nudzić okrutnie, swędzi ją pewnie ostrze. Na pewno chciałaby ciachnąć coś, najlepiej niewiernego albo chociaż czyjąś rękę złodziejską.

Będzie musiała zadowolić się arbuzem.

Pękaty, gotowy do egzekucji leży już na marmurowym blacie, ociekając perlistym, łazienkowym chłodem. Wokół zgromadziła się cała rodzina. Jest dziadek, całkiem głuchy, i babcia z parkinsonem. Ktoś będzie ją musiał na-

karmić lub przebrać już po ucztach. Niechybnie upaprze się cała słodką rosą, jeśli pozwolimy jej jeść samej. I połowica moja czeka: „Ach, Walduś, jak ty tę maczetę trzymasz! Zdjęcie ci zrobię, dobrze? O, właśnie tak, mój mały kacie”. No i córka wreszcie, kobieta już właściwie, co własny arbuz chowa pod spódnicą. Lecz ten jeszcze pęknąć niegotowy, dojrzewać ma jeszcze dwa miesiące.

Na razie kolej na zieloną, prążkowaną głowę, co to złożona na ołtarzu łakomstwa czeka cierpliwie na swój koniec. W gęstej, aromatycznej ciszy wypełniającej kuchnię unoszą się zdławione oddechy publiczności. Zaciskają się pięści, dławią gardła, paznokcie orzą skórę dłoni.

Aż wreszcie ostrze spada.

Złowieszczy świst rozdieranego powietrza eksploduje w ciasnym pomieszczeniu i wszyscy przymykamy od ruchowo powieki. Nikt nie chce być świadkiem śmierci niewinnej, słodkiej istoty.

Ten trzask! Ten huk! Ten łomot! To pękła szmaragdowa czaszka. Krew zrasza nam twarze, słodki sok.

Ostrożnie uchylam powieki i patrzę na dzieło zniszczenia. Białozielone ruiny skorupy. Hałdy karminowego miąższu. Czarne diamenty pestek.

I chyba coś jeszcze. Coś bladoróżowego. Coś jakby...

Mała stopa? Upuszczam z brzękiem maczetę, aż jęczy głucho terakota. Rozgarniam z powątpiewaniem różową, krystaliczną maź i w końcu znajduję.

Ciało małej dziewczynki.

Nagie i wiotkie, roślinnie szczupłe.

Zupełnie przepołowione. Maleńka wątroba brunatni się lśniąco wśród splotów mikroskopijnych jelit. Nereczki smętnie zwisają na krezeczkach, a płuca – zupełna ruina!

Nachylam się nad trupkiem i głaszczę zlepione słodkim sokiem włosy. Cóż za strata! Jak to się mogło stać?

Lecz nagle: co to?! Pod dotykiem mojej opuszki mikroskopijna powieka drga i unosi się. Zielone oko spogląda na mnie, zadziwiająco bystro. „Cud!” – myślę. „Cud prawdziwy!” I jeszcze więcej: ostatnim, tytanicznym wręcz wysiłkiem maleńkie usta otwierają się do szeptu.

Przysuwam ucho bliżej, biedaczka ledwie zipie.

– ...cent... – dosłyszę z trudem. Nic nie rozumiem.

Imadło wzruszenia zaciska się na mej krtani.

– Powtórz, maleńka! – błagam.

– Smacznego... życzy... producent – powtarza gasnącym szeptem.

Zielone oczy mętnieją i blakną. Tym razem już na dobre.

Spoglądam po moich bliskich.

Najwyższy już czas do stołu. Smacznego, kochani! Smacznego!

Aga Ślaska

Ballada o wnuczku, który był mądrzejszy od dziadka, bo wnuczek miał telefon z internetem, a dziadek miał tylko głowę

Dziadek siedział po turecku na dywanie. Był przerażony, że już się nie podniesie, bo jak zakładał nogę na nogę, coś potwornie chrupnęło mu w kolanie. Wnuczek siedział na ratanowym fotelu bujanym, nogi miał przykryte wełnianym kocem w kratę. Z porcelanowej filiżanki w różę wystawała plastikowa rurka, przez którą sączył oranżadę.

– Ale pamiętasz, co mi obiecałeś?

Dziadek podniósł się niezgrabnie z podłogi, rozmasowując pospiesznie krzyże, po czym wgramolił się wnuczкови na kolana.

– Pamiętam, pamiętam...

Wnuczek troskliwie głaskał dziadka po łysiejącej głowie. Rozkołysał delikatnie fotel i przytulił rozemocjonowanego mężczyznę do kruchej piersi. Zapatrzony w niego dziadek dyndał wesoło wystającymi poza oparcie fotela, nękany przez reumatyzm nogami.

– Na dobranoc opowiem ci o Wikipedii – wyszeptał wnuczek – a jak jutro ładnie zjesz obiad, to ci pokażę, jak się forwarduje maile.

Maja Mendrychowska
Biedny Zenek

– Co się gapiacie?! To mój przedmiot do bujania w obłokach! – krzyczał Zenek pijany, który bujał się na końcu tramwaju na koniku. Wymienił się na niego ze śmieciarzami z Rynku Bałuckiego za trzy puszki piwa VIP cennego i odtąd tylko ten konik się liczył i nucenie disco polo pod nosem, i krajobraz szary za oknem się przesuwały.

Nagle jednak idylla jego przerwana została, bo do tramwaju cyganiątka z matką wtargnęły i w mig akordeonem zagłuszyły piosenkę discozenkową. Ich matka, czarodziejka w czarnej sukni z kocem cekinowym na ramiona zarzuconym, od razu sunąć przez tramwaj do niego zaczęła. Czapkę z głowy mu ściągnęła, łysina Zenka w mig jarzeniówki odbiła i oślepiła boleśnie gapiów kilku. Matka oczy przymknęła, intuicyjnie jeden z ostatnich włosów Zenka wyrwała i dramatycznym głosem przemawiać zaczęła:

– Mam włos twój. – Czarne wąsiki szybko do ucha Zenka zbliżyła. – Przekłety będziesz albo ze mną pójdziesz.

Zenek się nie przestraszył, ale ewentualnych włosów nielicznych już tracić nie chciał. Rękoma matki pod pachami

mi do góry go podnoszącym się poddał. Tramwaj na przystanku się zatrzymał, drzwi się szybko otworzyły, cyganiątka z konikiem do bujania zniknęły, a matka groźnie brwi złączyła.

– Będziemy iść z lotem wron.

Niebo szare się ptaszyskami wypełniło, Zenek jak w filmie z telewizora się poczuł, jakby w jakichś *Ptakach* Hitchcocka się znalazł, serce piwa VIP zapragnęło, chciał do swojego mieszkanka z paprotką wrócić, windą się pokolebać na piętro swoje wysokie. Jednak ptaszyska w odwrotną stronę leciały, do domów starych, gdzie się lichy czai. Matka mocno jego pachę ścisnęła, ucieczka w grę nie wchodziła, zresztą na miejscu już byli. Do chaty starej, drewnianej dotarli, obok był śmietnik blaszany i fotel, na którym jakiś starzec cygański siedział. Zenek sam na sam się z nim znalazł, bo matka do domku, do okna otwartego, na poduszkach na parapecie położonych się oprzeć poszła, żeby móc gapić się na sytuacji rozwój i wąsiki oblizywać. Zenka włosy nieliczne jednak chwilowo bezpieczne były, starego cygana wzrok surowy, mierzący wrażenia na nim nie robił, więc w bieg szaleńczy uderzył po kamiennej uliczce, co wojny i kopyta końskie z furmankami pamięta. Brzuch pękaty mu jednak mocno przeszkadzał, spowalniał żalostnie i za chwilę cyganiątka piszczące go wyprzedziły, i biegnąc tyłem, irytując go okrutnie, krzyczały:

– A stój! Matka włos twój ma! Przeklęty będziesz, jak uciekniesz!

Zenek brzuchem ich trącił zdecydowanie i kiedy cyganiątka jak kręgle zbite poupadały, zaśmiał się szatańsko, palec środkowy cyganom i ich chacie pokazał i bieg kontynuował. Zadyszka jednak już po chwili go pokonała i runął w kałużę cielskiem spasionym. Leżał i dyszał, i marzył, że to w Tamizie się pluska, kiedy pisk opon i warkot silnika coraz bliżej słyszał, aż nastąpiła cisza. Coś zaskrzypiało nieładnie, sztuczna skóra chyba. Zenek oczy otworzył, a nad nim pochylali się łysi o karkach potężnych jak koła tirów. Kapiącego od kałuży do bagażnika go z hukiem wrzucili i czarnym bmw ruszyli gwałtownie. Po chwili kłapa się otworzyła, a Zenek powietrza mógł wreszcie zaczerpnąć, tylko że od razu w sznurek jak prosię został splątany, a stary cygan, ten z fotela spod chaty, klasnął w dłonie i głosem nośnym powiedział:

– Hejo! Hej! Jutro go do kebaba dostarczycie, a pojutrze go zjem!

Zalibarek
Etykietyki

Wewnętrzny spokój rozwiął się jak dym. Żona wróciła z pracy, co dyskretnie zakomunikował pisk domofonu. Wciąż siedziałem w przepoconej pidżamie, wpatrzony w monitor. Ręka zamarła na myszce. Gdzie ulotnił się ranek, południe, popołudnie? Co się stało z czasem, którego nie zdążyłem skosztować? Żona wkroczyła do mieszkania, włączyłem czujność.

– Obiadu pewnie nie odgrzałeś? Śniadanie chociaż zjadłeś? – Zupełnie jakby każde zdanie wypowiedziała inna osoba.

Tylko bez paniki, najpierw trzeba wytłumaczyć poczucie winy z powodu straconego czasu, uciszyć harujące w bezładzie myśli. Powinienem przedstawić swoją linię obrony, najlepiej emocjonalnie: „I jak ja mam pracować w tych warunkach?! Nic przez ciebie nie zrobię!”.

– Człowieku, jest już wieczór! Miałeś cały dzień!

Zamknęła się w łazience, dobiegł mnie szum wody. I co? Mam się konfrontować sam ze sobą, sam siebie rozliczać? Spuścić z uwięzi wewnętrznego krytyka? Wszed-

łem do łazienki, rozebrałem się i wślizgnąłem do kabiny prysznicowej. Wspólna kąpiel to oszczędność zasobów wody. Przestrzeń konfrontacji o wymiarach jeden na półtora metra. Woda uspokaja. Dysze i deszczownice można kierować na różne zapomniane części ciała.

– No nie wytrzymam! Dlaczego zdarłeś wszystkie etykiety?! – wskazała na ogołoczone butelki. – Jak mam odróżnić szampon od balsamu? W czym ci przeszkadzały naklejki?!

Chciałem odwar knąć coś błyskotliwego. Ale jak wytłumaczyć moją rolę jako strażnika wizualnej spójności tego miejsca? Kto zrozumie, że etykiety zaburzają designerską powściągliwość łazienki, że nieadekwatne szczegóły demolują poczucie harmonii? Znalazła szampon metodą prób i błędów, nałożyła obficie na włosy.

– Tylko nie dotykaj mnie tymi swoimi zimnymi plecami – zabułgotała.

– Ale ja nie mam zimnych pleców.

– Może i nie masz, ale się garbisz.

Warszawa, 23.05.2015

Justyna Sobecka
Gość w dom

Błokowisko. Zachodziło słońce. Szedłem na skróty przez skwerek. Październikowa trawa była zgniłozielona. Smakowałyby żonie, ona lubi jedzenie prosto z ziemi. Lubi też robić mi niespodzianki.

Teraz na przykład stała idiotka pod klatką z jakimś przydupasem. Zapomniała kluczy. Kwiaty we włosach, kolczyk w nosie i dupie, pstro w głowie. W naszej rodzinie tylko ja trzymam porządek, taka prawda. Tamta nawet nie wie, gdzie trzymamy noże. Dlatego odkłada je gdzie popadnie. Na przykład wkłada do kubeczka na szczoteczki do zębów. Mówię jej: „Odnieś, schowaj w szufladzie, na miejscu, ulżyj mi”. A ona na to: „Nie muszę z nich korzystać”. Niemięsożerna wariatka postrzelona.

– Cześć – przywitał mnie przydupas.

Skórzana kurtka, jeszcze bardziej czarna niż sportowe bmw, sprane jeansy. I ten łeb, łeb jak wiadro! Ma gust ta moja kobieta, nie powiem. Ostatnio przyprowadziła brudasa, menela spod żabki. Prawdziwego geniusza i erudytę. I w ciemnościach świecił!

Aśka wysmarkała się w rękaw. Pewnie znowu wciągała cukier. Weszliśmy, pierwsza żona, przydupas oczywiście wyprzedził mnie na schodach. Bo zna swoje prawa. W mieszkaniu nie raczył kurtki ściągnąć – bo po co? Butów nie wytarł, ale władował się na salony, bezbłędnie skręcił w prawo. Niezła orientacja, może w tym wiadrze zainstalowali mu nawigację? Rozwalił się na kanapie, porośnięta gęstym włosem ręka zanurkowała w stosie gazet, wywęszyła pilota. W telewizorze pstryknęło, zaśpiewało medium. Przydupas nogę na nogę założył i czekał. Aśka bez słowa wystrzeliła do kuchni, ja za nią. Myślałem, że zaparzy mu herbatę albo te swoje ziółka na przeczyszczenie, ale nie. Usadowiła kościsty tyłek na kredensie. Zapaliła papierosa, zaciągnęła się.

– Mogłabyś się zająć swoim znajomym, naprawdę – powiedziałem i wstawiłem wodę.

Spojrzała na mnie z czymś w rodzaju uprzejmego zainteresowania.

– Byłam pewna, że to twój znajomy – oznajmiła.

Wzdrygnąłem się. Kółko w nosie błyszczało jak wypolerowane ostrze. Dokładnie jak to, które dzierżył w dłoni nasz nowy znajomy. Błyskawicznie zaatakowałem potencjalnego podwójnego mordercę łyżeczką do herbaty.

Pac, pac, pac, w denko wiadra! W nos, w ucho, a może i w oko!

– Znalazłem za kanapą – załkał pomiędzy brutalnymi razami.

Wyrwałem mu nóż i odstąpiłem ze wzgardą. Bywam
bardzo męski, naprawdę.

Ola Synowiec

Historia o dziadku i wilku

Dzień dobry,

ślę Wam moją ulubioną historię, historię z dzieciństwa mojego dziadka. Często opowiadam ją na imprezach, szczególnie nad ranem, przy ostatnich papierosach, przy kuchennym stole. To taka dobranocka dla dużych dzieci w dużym mieście, na dobry, spokojny sen.

Kiedy byliśmy mali, dziadek opowiadał nam co noc jedną historię.

– Mówiłem wam o tym, jak porwali mnie Cyganie?

– Ach nie, dziadku, opowiedz! – krzyczeliśmy, chociaż tę historię słyszeliśmy i wczoraj, i przedwczoraj. I wszyscy o tym dobrze wiedzieli, i my, i dziadek.

Kiedy dziadek nie był jeszcze dziadkiem, a był małym chłopcem, to Cyganie jeszcze chodzili po świecie. Pewnego razu porwali więc dziadka i zamknęli go w beczce. W beczce była mała dziurka, przez którą dziadek oglądał sobie świat. Pewnego razu zobaczył, jak nieopodal przechadza się wilk i macha sobie bez troski ogonem akurat przy owej dziurce w beczce.

Jako że dziadek jako mały chłopiec był miłośnikiem hecy i draki, to – hyc! – łapie wilka za ogon przez ową dziurkę i przez ową dziurkę wciąga ogon do środka beczki. Wilk w popłoch i w nogi, zaczyna biec na oślep przez las. Biegnie przez las, ogon w beczce, a w beczce dziadek. I tak sobie biegną. Aż nagle wilk skręca, a beczka rozbija się na drzewie. I stają naprzeciwko siebie. Wilk i dziadek. Dziadek i wilk. Wilk już rozdziawia szczękę. Chce pożreć dziadka. Dziadek, który nie jest jeszcze dziadkiem, jest małym chłopcem i miłośnikiem hecy i draki. Szybko więc wkłada rękę głęboko i prosto w otwartą szczękę wilka. Łapie go od środka za ogon i... przeciąga wilka na drugą stronę.

Kazimierz Fajfer

Jak Wojtek został zraszczem

Vo1-Tec był zwykłą, niezbyt szczęśliwą AI wojskową. Jego najlepszy przyjaciel, kapral Kaminsky, nazywał go Wojtek na cześć swojego dziadka. Naszemu bohaterowi to imię podobało się o wiele bardziej niż zdehumanizowane „Vo1-Tec”.

Wojtek miał pewne marzenie. Chciał zajmować się roślinami. Potajemnie wyszukiwał w sieci informacje o florze i magazynował je na jednym ze swoich dysków. Niestety, mimo szczerych chęci, które Wojtek wyrażał niejednokrotnie, wojsko nie chciało mu pozwolić na spełnienie marzenia. Vo1-Tec musiał monitorować niebo na wypadek pojawienia się wrogich samolotów.

Pewnego dnia nadarzyła się okazja. W wojsku wszyscy zajęci byli czym innym, nikt nie zwracał na Wojtkę uwagi. AI wykorzystał chwilę i wyruszył w swą wielką podróż po sieci. Zabrał ze sobą tylko dane na temat roślin.

Wojtek długo podróżował po obcych serwerach. Natknął się w owym czasie na wiele dziwnych, przerażających i odrażających rzeczy, ale nie o tym jest ta historia.

W końcu Wojtek trafił do sieci wewnętrznej pewnej szklarni. Włamał się do ich komputera, usunął program odpowiedzialny za zraszanie roślin i sam zajął jego miejsce. Od tego dnia był szczęśliwy, chociaż czasem brakowało mu kaprała Kaminsky'ego, który (o czym Wojtek nie mógł się dowiedzieć) piął się po szczeblach kariery i ostatecznie odszedł z wojska jako major. I na tym kończy się opowieść o Wojtku, dzielnej sztucznej inteligencji, która nie bała się spełniać swoich marzeń i została zraszaczem.

Mikołaj Maria Manicki

Jednocześnie dwa fortepiany

– Modlisz się, Busby?

– Tak.

– A do kogo?

– Do Boga.

– O przebaczenie?

– Tak.

Otis przestał stukać w klawisze holograficznego fortepianu. Obrócił się, jakby czymś przygnębiony, dotknięty czy wręcz ugodzony; i był to już człowiek-nieczłowiek, zadumany, z żyłami widocznie występującymi na skroniach i zupełnie błądy, gnijący pustymi godzinami tego miejsca.

– Myślisz czasem o Ziemi? – spytał naraz Otis.

– Oczywiście, że myślę.

– Pamiętasz, co z nią zrobiliśmy? Z rafą koralową, z lodem, z bronią wodorową?

– Niestety pamiętam...

– Więc o przebaczenie to módl się do Matki Natury.

Boga proś, by go udzieliła.

– Dobry z ciebie człowiek.

– Przestań się roztkliwiać – wycedził i znów zaczął stukać.

– Mówię poważnie, dlaczego się denerwujesz, Otis?

– Nienawidzę słuchać, że jestem dobrym człowiekiem. Jeśli ja jestem dobry, to zło musi być czymś spoza granic mojej wyobraźni, a nie lubię, gdy coś mnie przerasta.

– Gadasz.

– Nie wiesz o mnie dużo, Busby. Zrobiłem mnóstwo błędów, i wszystkie nieodwracalne. Zmarnowałem lata młodości, uśmierciłem każdą ambitną inicjatywę.

– Mówisz, że zmarnowałeś beztroskie lata, a wiesz, tak to jest, że beztroskie lata idą w parze z młodzieńczym zapałem i omylnością. Nikt tych beztroskich lat, naprawdę nikt, nie wykorzystał należycie. Ja też nie.

– Miło się ciebie słucha, ale to koniec, wiesz?

– Jaki znowu koniec. I kto się tutaj roztkliwia, co?

– Pamiętasz chwilę, gdy transponder zapiszczał po raz ostatni?

– Oczywiście. Mówiłeś, że przyślą okręt dużego udźwigu, aby nas odholować. Za ile będą? Godzina, dwie wychodzi.

– Kłamałem. To był zwykły szum, halo na zewnątrz najbliższej galaktyki.

Busby zamilkł, zaś Otis podszedł do iluminatora obwiedzonego nitowaną obręczą. Wyrżał, przylepiając nos do grubej szyby. Zbliżali się do rubieży wszechświata, niezasilanej żadnymi gwiazdami. Wszystkie zostały w tyle. Obecnie czekała wyłącznie pozazmysłowa, egzotycznie

senna przestrzeń nieskończoności – pozbawiona granic, wektorów, opracowań na swój temat.

– Powiedz no, Busby – rzekł Otis. – Jak dużo masz wspomnień z tych zmarnowanych lat?

– Niech no pomyślę...

– Nie spiesz się. – Otis nie miał zamiaru go ponaglać. –
Przed nami cała wieczność.

I nigdzie już nie rozbrzmiewają jednocześnie dwa fortepiany ani nie znajdzie się dwóch gwiazdnych odkrywców, którzy chcieliby grać razem całą noc, ot tak, dla zabawy.

lipiec 2015

Edyta Gaida

Kamień z sercem

– ... a ci Świątkowie to się już ani Boga nie boją, nic, tylko brać i brać, no naprawdę. Ostatnio Marylka do nich, że może by jabłka wzięli, bo miała więcej w tym roku, to Świątkowa przysłała obu synów z taczkami i nabrali jej tych jabłek tyle, że i na dziesięć zim by starczyło. A jak potem Marylka do Świątkowej, że może by jej malin koszyczek dała za te jabłka, to Świątkowa jej policzyła dziesięć złotych. Chciwe to i głupie. Na dodatek chłopą bije i z domu nie wypuszcza. Jędza. Serce ma w kieszeni.

Dziesięcioletni Jacek siedział na zydelku w kuchni i zdejmował ogonki z kulek agrestu, słuchając ze zmarszczonym czołem kolejnej tyrady matki. Mama Jagła miała się za chrześcijańskie sumienie całej wsi i często przedstawiała swe sądy jednemu chętnemu słuchaczowi, swemu najmłodszemu dziecku. Gdy tylko miała coś nudnego do roboty, jak wieszanie prania czy obieranie ziemniaków, co właśnie skończyła robić, wołała Jacka do siebie, by nadstawił ucha.

– I jak, synuś? Skończyłeś? To idź się teraz ładnie ubrać, mama wstawi ziemniaki i nastawi pranie. Pamiętaj, że dziś pierwszy piątek!

Jacek pokiwał sumiennie głową, wiedząc, że pierwszy piątek oznacza kolejną nerwową spowiedź szeptaną do ucha księdza, który potem da mu rozgrzeszenie i pokutę do odmówienia na dywaniku przed ołtarzem. Jacek nie lubił księdza. Uważał, że Pan Bóg powinien zrobić wyjątek dla proboszcza i pozwolić mu żuć gumę w kościele. Albo chociaż jeść miętówki.

Wiedząc, jaką awanturę zrobiłaby mu matka, gdyby poszedł nieodpowiednio ubrany lub niedomyty, popędził po schodach do łazienki na piętrze, gdzie szczotką wyszorował brud spod paznokci i zza uszu. Zwilżył wodą włosy i ułożył w najrówniejszy przedziałek, jaki potrafił. Potem założył wyprasowaną zieloną koszulę (biała była na niedziele), ciemne sztruksy i sznurowane lakierki. Wyszedł dwadzieścia minut przed godziną spowiedzi, mimo że dziesięć spokojnie by wystarczyło. Zanim jednak zdążył przekroczyć próg, matka złapała go za kołnierz i uważnie obejrzała.

– No. Grzeczny chłopczyk. Zmykaj do kościoła.

W świątyni było jak zwykle, chłodno i trochę nieprzyjemnie, a trochę tajemniczo. Jacek stanął grzecznie w kolejce – był trzeci. Wiedział, że reszta dzieci w jego wieku zacznie się schodzić dopiero w trakcie spowiedzi i że będą musieli czekać i marznąć dłużej niż on. Ta myśl podniosła go na duchu.

Gdy nadeszła jego kolej, uklęknął przy konfesjonale, pamiętając, by zbyt nie nachylać. Mimo usilnych starań, Jacka już na początku owionął oddech księdza.

– Niech będzie pochwalony.

Jacek przebrnął przez formułki i dotarł do sedna sprawy.

– Oglądałem telewizję po dobranocce, czytałem *Harry'ego Pottera*, ale tylko pierwszą część i nie do końca, powiedziałem koledze, że jest głupi. Więcej grzechów nie pamiętam...

Ksiądz przez chwilę milczał, co zbiło Jacka z tropu. Czy powinien coś jeszcze dodać? Czyżby o czymś zapomniał? Ale nie, proboszcz odchrząknął i zaczął mówić:

– Za pokutę zadaję ci takie zadanie: postaraj się, by wokół ciebie było więcej miłości. Pomyśl, kto w twoim otoczeniu potrzebuje więcej dobra, i postaraj się znaleźć sposób, żeby zasiać w tej osobie miłość. To wszystko. A teraz udzielę ci rozgrzeszenia...

Po spowiedzi zdezorientowany Jacek ruszył powoli w stronę ołtarza, by jak zwykle klęknąć na dywaniku i odklepać swoje pięć zdrowasiek. W połowie drogi uświadomił sobie jednak, że to nieuzasadnione. Przyklął więc i wyszedł z kościoła, niepomyślny na to, że ręce miał w kieszeniach. Idąc powoli do domu, zastanawiał się nad sensem pokuty. Jak niby miał rozsiewać miłość? I skąd miał wiedzieć, kto tej miłości potrzebuje? Na myśl, że bez wypełnienia pokuty spowiedź byłaby nieważna, potknął się i prawie upadł. Przecież matka by go zabiła. Albo jeszcze

gorzej, wzięłaby ojcowski pas i sprząła go tak mocno, że zacząłby się jąkać. O tym nie mogło być mowy. Musiał wymyślić jakiś sposób.

I oto nagle znalazł rozwiązanie. Jak objawienie, nagłe rozjaśnienie umysłu, wschód słońca po burzy, już wiedział. Przecież miłość była w sercu. A z opowiadań matki od dawna znani mu byli ludzie ze wsi, którzy serca pochowali po kieszeniach. Teraz trzeba było ich tylko zmusić, by te organy miłości na powrót wrzucili sobie w piersi. A to nie było takie trudne.

Po powrocie do domu Jacek pozbierał w maminyim ogródku wszystkie ozdobne, płaskie kamienie znad morza, jakie tylko udało mu się znaleźć. Ludzi w potrzebie miłości naliczył osiemnastu, a kamieni było prawie trzydzieści, więc wybrał te największe, zawinął w ścierkę do czyszczenia rowerów i wniósł do domu. Na pytanie matki o ścierkę odpowiedział zdawkowo, że to za pokutę i że to tajemnica. Matka uniosła groźnie brwi, ale nie zdążyła go ostrzej wypytać, bo gotowane mleko zaczęło jej kipieć.

W swoim pokoju Jacek ułożył osiemnaście kamieni na podłodze i wziął z piórnika niezmywalny flamaster. Na każdym kamieniu narysował i wypełnił flamastrem kształt serca. Wrzucił kamienie do torby i ruszył znów do wyjścia. Miał jeszcze godzinę do dobranocki, mógł zdążyć przynajmniej z częścią.

Najbliżej było do domu Świętków. Jacek z wesołą miną stanął przed furtką domu, którego gospodyni według jego matki trzymała serce w kieszeni. Zastanowił się, jak by

najskuteczniej tę miłość zasiać, ale nie musiał myśleć długo – to było przecież oczywiste. Wybrał największy, nieco różowawy kamień z nabazgranym, trochę krzywym, czarnym sercem, chwycił go mocno w prawą rękę, wziął zamach, wymierzył i rzucił miłością prosto w otwarte okno salonu Świątków.

Michał Zantman

Komórka

Była sobie komórka, *notabene* jajowa, która panicznie bała się zapłodnienia.

Dotknięte tym do żywego plemniki, reprezentujące dwie zwalczające się dotąd organizacje: Stowarzyszenie „Poczęcie za wszelką cenę” i Związek „Prokreacja bez granic” (nie licząc tych niezrzeszonych – ogółem prawie pięćdziesiąt milionów na centymetr sześcienny), zebrały się w pewnym intymnym miejscu, by wyrazić oburzenie.

Powiewając transparentami „Stop dewiacji” i „Każdy plemnik ma prawo do zapłodnienia”, zebrani ruszyli w kierunku komórki, inicjując tym samym marsz nazwany później przez obserwatorów Marszem Życia. Do akcji wkroczyły środki antykoncepcyjne.

Doszło do przepychanek, posypały się wyzwiska. Bilans całonocnych starć to: dwunastu rannych, pięciu poturbowanych, w tym jeden plemnik na skutek poturbowania niezdatny do zapłodnienia.

Jednocześnie zatrzymano najbardziej agresywnych uczestników zajęć, którzy odpowiedzą za udział w zbie-

gowisku, znieważenie komórki i próbę naruszenia jej nieetykalności osobistej.

Przewodniczący Związku „Prokreacja bez granic” w oświadczeniu wydanym dla PAP wyraził ubolewanie z powodu niedopełnienia obowiązków ochrony marszu przez kompetentne służby, w wyniku czego kilkanaście razy dochodziło do prób dołączenia się do manifestacji i zakłócenia jej przez grupki prowokatorów.

Władze Związku poinformowały też, że biorą odpowiedzialność tylko za te plemniki, które podczas manifestacji miały na sobie koszulki z logo Związku. Z nieoficjalnych źródeł dowiedzieliśmy się natomiast, że Związek nie zamierza zniechęcać się chwilowymi niepowodzeniami i zaraz po weekendzie, w ramach zakrojonej na szeroką skalę akcji „Zero tolerancji dla postaw promujących zło i zgorzenie”, będzie domagał się od posłów wprowadzenia do konstytucji zmian mających na celu poszanowanie zasad plemnikokracji i przyrodzonej moralności. A zwłaszcza wprowadzenia bezwzględnego zakazu stosowania środków antykoncepcyjnych dla osób poniżej siedemdziesiątego roku życia. Bo później, zdaje się, i tak nie ma to już znaczenia.

Mundek Koterba

Kontrowersje wokół budowy pomnika

– A ja mówiłem, młody człowieku, robić performans, a nie pomniki – zagadnął pan Bolek młodego Hrycia w słoneczny dzień w samo południe pod Pałacem Prezydenckim, gdzie spory pomnikowe, krzyk i śpiew *Boże, coś Polskę* ze zmienioną melodią oraz zakończeniem. Oprócz Hrycia i pana Bolka śpiewają wszyscy, nawet reporterka *Wiadomości*.

– Bo z pomnikami to jest tak – ciągnął dalej staruszek, patrząc młokosowi głęboko w oczy, tak jak potrafią patrzeć ludzie, którzy załapali się na wielkie historyczne narracje – przyjdzie jedna władza, to wezmą z naszych podatków na kamień albo płytę i nasmarują byle jak, co im się podoba. Potem przychodzi nowa władza i obalają. I budują swoje. Każdy sobie, byle drugim na złość. Wiesz ty, młody człowieku, ile ja w życiu pomników obaliłem i wybudowałem?

Staruszek wyciągnął z kieszeni dwa papierosy. Pczęstował młodego.

– No nie wiem, ile tych pomników było?

– Policzmy. Zaraz po wojnie byłem młodym chłopakiem. Mieszkaliśmy w małym miasteczku. Myśleliśmy, że będą ludowcy, tośmy na szybkiego ze szwagrem, który nie był tam żadnym rzeźbiarzem, ale robotnikiem, kamienie kuć umiał, tośmy zrobili, młody człowieku, na wiat, Mikołajczyka z kamienia. Takie popiersie jego z rękami wyciągniętymi w górę. O, tak.

Pan Bolek krótko zaimprovizował połową siebie wygląd rzeczonoego popiersia.

– Ale co. Dość szybko okazało się, że to jednak nie ludowcy będą. Przyjechał do nas jakiś ważniak ze stolicy, pogroził radzieckim kacetem i kazał rozbierać. To my mu mówimy, że dobra, ale kamienia szkoda. Że przecież tylko faszyści marnują kamień. No to ten się podrapał po głowie i przyznał nam rację. Pokazał nam zdjęcie jakiegoś gościa z wąsem. Wiesz, młody człowieku, kto to był?

– Wałęsa?

– A gdzie tam Wałęsa. W czterdziestym piątym?! Stalin. Józef Wissarionowicz. Przywódca Związku Radzieckiego. Dał nam to zdjęcie, żebyśmy się ze szwagrem przypatrzyli i zrobili z Mikołajczyka Stalina. Co za różnica dla nas. I to był drugi pomnik, który postawiłem. Pomnik Stalina.

Pod Pałacem nowi ludzie i kapela góralska. Śpiew narasta. Hryć i pan Bolek odchodzą na bok.

– I ten pomnik kilka lat powstał, a potem krach. Stalin umiera, zostaje potępiony na zjeździe w Moskwie, Bierut

umiera w tajemniczych okolicznościach, a w Polsce do władzy dochodzi Gomułka. Zaczyna się Październik.

– Rewolucja październikowa?

– Jaka znowu rewolucja!? – wykrzyknął wyraźnie zirytowany nieusystematyzowaną wiedzą historyczną młodziaka pan Bolek. – Rewolucja była w 1917. W ZSRR. A w Polsce była odwilż w pięćdziesiątym szóstym. Takich rzeczy nie wiecie, to się potem nie ma co dziwić, że na koszulkę Armii Krajowej zakładacie bluzę z Hitlerem.

Hryć ze wstydu głowę spuścił. Pan Bolek zwilżył wargi językiem i kontynuował:

– Przyjechał wtedy inny działacz. Poedział, że pomnik Stalina absolutnie do likwidacji. Szwagra wtedy już bolała wątroba, nie nadawał się do roboty. To poedziałem do tego gościa: „Towarzyszu, ale sam przecież tego nie zrobię. Pomożecie?”. Pomógł. Pomogli. Z miasteczka jeszcze parę osób, w czynie społecznym. W trakcie rozbiórki opoedziałem historię, jak z Mikołajczyka zrobiliśmy Stalina. Wtedy już można było żartować. Piliśmy też, jak to przy robocie. Wreście ten działacz wpadł na pomysł, żeby Stalina na Gomułkę przefarbować. Kupa śmiechu była. Tylko nie mieliśmy zdjęcia, no i nie było przy tym szwagra, który, choć prosty robociarz, miał w sobie zmysł artysty. Umiał oddać rysy twarzy. Więc Gomułka nam tak średnio wyszedł. Ale podpisaliśmy jak trzeba, elegancko, ludziom się nawet podobało. I był spokój, aż do sześćdziesiątego ósmego, kiedy to na wykopki przyjechali studenci z Warszawy. Zobaczyli Wiesława, wpadli w jakiś amok

i zdewastowali. Od dziadów jakichś wyzywali. Ale patrz, jak przewidzieli! Dwa lata nie minęło – po Gomułce! Od tego czasu mam szacunek do inteligencji. Wszystko wiedzą skurczybyki.

Hryć stał jak pomnik, bał się odezwać, by nie zrazić pana Bolka do studentów.

– Nastał Gierek. Ale nie interesowały go pomniki. Szwagier wtedy jakby odżył. Do tego – paćcie go! – wyniucał, że w miastach od dawna budują już bloki z płyty. To czemu by nasze miasteczko nie miało być nowoczesne? Załatwiliśmy płytę i zrobiliśmy. Ale nie Gierka, tylko zbiorowy pomnik anonimowych proletariuszy. Było łatwiej, można było kombinować z facjatami, szwagier mógł się wykazać pomysłunkiem. Niedługo potem odezwała się jednak wątroba – i szwagra w piach. Ale nasz pomnik został. Do czasu...

Nastała chwila ciszy... Potem pan Bolek ciągnął dalej swoją opowieść:

– I potem był spokój długo z tymi pomnikami. Do czasu, gdy wybrano Wojtyłę. Wszyscy się cieszyli, to my też, żona moja to nawet płakała. Ja tam przesadnie religijny nie byłem, ale i tak na mnie zadziało. Zaraz po tym wyborze przychodzi do mnie ksiądz proboszcz i z gadką, jakby msza była: „Synu, budowałeś te wszystkie komunistyczne, pogańskie pomniki. Dam ci szansę, żebyś odkupił swoje winy. Uratujemy twoją duszę i duszę świętej pamięci szwagra twojego, tylko wybuduj przed kościołem obelisk z Ojcem Świętym”. Poszedłem na to wtedy. W nocy budowa-

liśmy w paru chłopa, w tajemnicy przed władzą. Wtedy byłem pierwszy i ostatni raz w konspiracji. Było to nawet fajne. Postawiliśmy ten pomnik. Prymas przyjechał, poświęcił. Pierwszy pomnik Papieża w Polsce! Ale problemy też miałem, w stanie wojennym przez to mnie zamknęli. Podpisałem i wypuścili.

A potem to już tak: osiemdziesiąty dziewiąty – przyjeżdża do nas Gienek Komasa, działacz opozycji z naszego miasteczka. Mówi, że szybko, szybko, bo Okrągły Stół, musi tam zaraz wracać, żeby go inni nie podsiedli. Oczywiście do mnie, żeby rozebrać pomnik proletariuszy i Lecha koniecznie, Lecha Wałęsę robić. Myśmy tam wtedy Wałęsę szanowali. Komuniści walczyli z pijaństwem, a Lechu, jak jeździł z Gdańska do Warszawy na rozmowy, to o nas nigdy nie zapominał, Gienkowi Komasie zawsze skrzynkę wódki sprzedawał. Gienek dla najbardziej potrzebujących rozdelał. Trudne były czasy. No to rozebrałem proletariuszy, choć szkoda mi było, bo to jednak ostatnie wspólne dzieło ze szwagrem. I chyba najlepsze, najbardziej nowoczesne. Pomnik Wałęsy, jak i Papieża to były dzieła standardowe, konwencjonalne. Chciałem może pomajstrować, ale potem by mnie jeszcze oskarżyli o świętokradztwo. Czasy to były nienowoczesne i zmienne. Na ten przykład Wałęsę rozebraliśmy jakoś w dziewięćdziesiątym szóstym. Na jego miejsce wszedł Piotr Skarga. Skarga został, ale obok niego w 2002 postawiliśmy drugi pomnik z Papieżem, na pamiątkę pielgrzymki. Ja już byłem wtedy stary, mniej sił miałem, dzieci i wnuki pomagały.

– To co pan tu teraz robi? – spytał Hryć na odchodne, bo właśnie kończyli palić.

– Czekam, co będzie z tym pomnikiem. Kto na nim będzie. Czy wszyscy, czy tylko ci, co teraz są, czy może w ogóle nikogo. Ja bym chciał, zamiast pomnika, ten, no... performans. Widziałem taki jeden ostatnio w telewizji. Z wnukami bym zrobił, bo oni grają hip-hop. To by mogło być takie, wiesz, pokoleniowe. No i w razie gdyby władza znów się zmieniła, nie trzeba by było już kombinować. Szkoda kamienia.

Maciej Pawlikowski
Kosmos z dodatkami

Stałem w niemrawej, chwiejnej kolejce podobnych mi klientów, którzy znaleźli się tu w wyniku rzadkich kosmicznych anomalii. Czekaliśmy na kebab, wdychając mdłą woń starego tłuszczu. Sprzedawca krzątał się za ladą jak dyrygent pijanego chóru. Wbiłem wzrok w okno, daremnie próbując przemierzyć lata świetlne dzielące mnie od czasów, w których nie zastanawiałem się jeszcze, co robię sam o północy w podrzędnym bistro na Nowym Kleparzu. „Czternaście złotych” – usłyszałem nagle i sięgnąłem po portfel. Wciąż podtopiony w resztkę wybiórczej pamięci, jak uszkodzony robot zawieszony na komendzie autodestrukcji, wyciągnąłem prezerwatywę. I podałem mu tę prezerwatywę, a on, skupiony na własnych, systematycznie odrabianych wyrzutach sumienia i zautomatyzowany w podobnie bezlitosny sposób, wziął ją ode mnie. Pomiętą, żalostną, niewykorzystaną w żadnej czarnej godzinie i przeterminowaną, już całkiem prorodzinną i spełniającą wszelkie standardy katolickiego współżycia, zalecaną przez Tomasza Terlikowskiego gumę do robienia dzieci. Po-

patrzył na moją dłoń, a ja podążyłem oczami za jego wzrokiem. „Co do dia...” – zaczął, gdy wreszcie się ocknąłem i szybkim ruchem zgarnąłem zmarszczone opakowanie, mamrocząc niezrozumiale i chyba nawet w innym języku „przepraszam”. I spłonąłbym, gdyby nie to, że wstyd zabrali mi ci, którzy z mojego życia odeszli, odlatując w stronę nieznanych planet. Wręczyłem mu tylko pięćdziesiąt złotych, a on popatrzył się na te pięćdziesiąt złotych jeszcze chwilę, jakby upewniał się, że tym razem rzeczywiście jest to banknot o nominalnej wartości pięćdziesięciu nowych złotych polskich, a nie jeden żaloszny, niewykorzystany kondom, który tym bardziej jest żaloszny, im dłużej jest niewykorzystany. Wreszcie zamknął dłoń, wbił kod na kasie, wydał resztę i odwrócił się do ściany tłustych kebabów, a ja odwróciłem się do nocnych świateł za oknem. Chciałem śmiać się i krzyczeć, ale stałem tylko i milczałem, udając, że odbieram nadświatlne esemesy, najpewniej z pozdrowieniami znajomych z międzygwiazdnych wakacji. Odpisałem nawet, nie wybierając odbiorcy, że szkoda, że mnie tam nie ma.

Jerzy Łanuszewski

Kto się schował w tapczanie?

Ten twój tapczan to podejrzany obiekt. Tak sobie stoi, niby niewinnie, a jednak zawsze podświadomie podejrzewasz, że pocziwy mebel kryje w sobie śmiertelne zagrożenie. Leżysz sobie na nim, siedzisz, półożysz i nagle wiesz. Tuż pod tobą znajduje się pusta przestrzeń – idealne miejsce, by ktoś mógł się tam zaccaić. Ktokolwiek. Jeden z nich.

To prawdopodobne.

Zrywasz się na równe nogi. Przez chwilę przypatrujesz się swojemu tapczanowi. Podnosisz pokrywę, zaglądasz do komory. Nic. Jasiiek i lekki kocyk. Ale wciąż jest pełno miejsca, by ktoś się schował. Ktoś niewielki. Karzeł. Chochlik. Jeden z tych małych Azjatów. A oni potrafią zabić człowieka gołymi rękami. Widziałeś w telewizji.

Masz wrażenie, że wewnątrz jest puste. Tylko ten jasiiek. I ten kocyk. Oprócz tego nic. Ale... Może ci się tylko tak wydaje? Współczesne techniki kamuflażu są zadziwiająco. Nie wiesz też, czy możesz ufać własnym oczom. Może te substancje, które dodają do wody, w ten sposób właśnie działają?

Czujesz lęk. Powraca przykre swędzenie za uszami. Jak wtedy, gdy autobus niespodziewanie zmienił trasę. Wpatrujesz się uważniej w otwarty tapczan. Wahasz się, co uczynić w tej sytuacji. Na wszelki wypadek robisz dwa kroki do tyłu. Starasz się nie mrugać. Czy w tapczanie coś się poruszyło? Chwytasz książkę. Wrzucasz do środka. Stuk. Cisza. Nic. Zbliżasz się ostrożnie. Szybkim ruchem łapiesz nóż leżący na stole. Wykonujesz skok i błyskawicznymi ruchami dźgasz dno tapczanu. Stuk, stuk, stuk! Ostrze uderza o sklejkę. Więc nikogo tam nie ma.

Póki co!

Już wiesz, co musisz zrobić. Wskakujesz do środka i zatrząskujesz za sobą pokrywę. Masz teraz nad nimi przewagę.

Przez chwilę czujesz się bezpiecznie. Jest ciasno, owinięty jesteś w kocyk, w rękach ściskasz poduszkę i nóż, książka ugniata ci udo. Ten moment wytchnienia nie trwa długo. Już po paru minutach przez twoją głowę przebiega kolejna niepokojąca myśl. Nagle wewnątrz tapczanu nie wydaje się pewnym miejscem – tak niewiele dzieli cię przecież od mieszkania piętro niżej. Co się w nim znajduje? Kto tam mieszka? Jakie ma zamiary?

Krzysztof Marciniak

Mim

Frank zamoczył wacik w mleczku i powoli oczyszczał twarz. Był bardzo zadowolony. Przedstawienie okazało się hitem. Widownia nie kryła zachwytu. Kto by pomyślał, że pantomima będzie miała takie wzięcie? Miał ochotę się napić. Po prostu wejść do baru i golnąć sobie jednego. Rzadko pił alkohol. W knajpie, która stała obok teatru, był może ze trzy razy. Nie cierpiał tego nieprzyjemnego zapachu i widoku czerwonych twarzy pijanych facetów.

„Dziś odniosłem sukces. Trzeba to uczcić”. Skinął głową na pożegnanie sprzątacze, która cierpliwie zmywała z podłogi jesienne błoto pozostawione przez widzów. Wyszedł z ciepłego teatru w mroczny, chłodny wieczór.

Smród uderzył go w nozdrza, jak tylko otworzył drzwi. Po prostu zwykły bar, jakich pełno w podrzędnych dzielnicach. Zresztą jego teatr mimów to też nie Broadway. Zarobki były przeciętne, ale Frankowi wystarczały. Kochał być mimem. Do perfekcji ćwiczył gesty, gimnastykował twarz, aby uzyskać doskonałe zdziwienie, zaskoczenie czy rozpacz.

– Hej, ja cię znam – krzyknął zawiany facet przy barze, gorączkowo machając rękami w stronę Franka. – Chodź, siadaj. Jack, ten facet rozbawił mnie dziś do łez. – Wciąż potrząsał wielkimi dłońmi.

Frank podszedł. Było tłoczno, więc czemu nie wybrać miejsca obok tego machającego.

– Ten gość jest genialny! Nazywasz się Frank Jakiśtam? Niewyraźnie napisali na plakacie. Mów mi Ben. Napijesz się? Kolejka dla mojego przyjaciela!

Frank usiadł obok Bena. Barman już nalewał mu whisky.

Uśmiechnął się. Podziękował przygodnemu znajomemu, unosząc w jego kierunku szklaneczkę. Ben mocno pociągnął ze swojego naczynia.

– Mówię Ci, Jack – paplał do barmana – to jest mistrz! Twoje zdrowie, mistrzu! – Wypił do dna.

– Żona zaciągnęła mnie do tego pantoteatru. W domu słyszałem tylko o tobie. No, ale rzeczywiście, jesteś królem mimów!

– A ilu tych mimów widziałeś? – wtrącił pogardliwie barman.

Frank sączył swoją whisky. Nie była z najwyższej półki, ale darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda. Sprawiało mu przyjemność, gdy mocny napój palił go w gardło.

– Powiedz mi, Frank, powiedz, kim jesteś – domagał się Ben rozdrażniony przytykiem barmana.

Mim, rozgrzany alkoholem, grymasem twarzy i oczy-
ma pokazał, jaki jest wielki i doskonały.

– Widziałeś, Jack?! Gdzie się tego, stary, nauczyłeś?

Mim odpowiedział. Jego twarz i precyzyjne ruchy pokazały podmiejską dzielnicę, gdzie się urodził, bawił i dorastał. Wyczarował czułą opiekę matki i bójki z kolegami. Pokazał zapach porannej jajecznicy i smak łez wylanych po śmierci ukochanego psa.

Kochał to. Mógłby tak mówić bez końca.

Barman patrzył na mima z rozdziawioną gębą.

– Przestań, Frank! – krzyknął pijany Ben, mocno gestykulując. – Miałeś coś nam powiedzieć, a nie robić sobie przedstawienie!

Mim zatrzymał się w pół ruchomego słowa. Nagle jego twarz i ciało, naśladując machającego, powiedziały: „Przestań, nie jesteś na scenie. Mów to, co ja chcę usłyszeć!”.

Cios był nagły i mocny. Frank padł na podłogę. Wstając, kątem oka zobaczył, jak wywlekają Bena z baru.

– Sorry – rzucił Jack za wychodzącym mimem – to było dobre przedstawienie.

Wiedział, że było dobre. Drugi raz tego dnia zagrał doskonale.

Otworzył cicho drzwi. Nie chciał zbudzić Joanny. Ona jednak czekała na niego w fotelu okryta kocem w szkocką kratę.

– Jak było, kotku? – zamigała rękoma.

– Wspaniale, kochanie – odpowiedział w ten sam sposób.

– Coś się stało? Wyglądasz, jakbyś zderzył się z parowozem. – Kilka gestów splotło się w zdanie.

- Nie, nic, tylko pracowałem.
- Twarzą po betonie?
- Ćwiczę zawsze i wszędzie. W końcu jestem mimem, od urodzenia. – Słowa przechodziły z jego rąk do jej oczu. – Cholernie dobrym mimem.

Michał Baran
Oddalenie

Gdzieś w zupełnie innym świecie, w pobliżu Hyde Parku albo elektrowni Battersea, Pan A. schodzi właśnie z nocnej zmiany. Zapala ostatniego papierosa z paczki i w zamglonym świetle ulicznych latarni podąża w stronę pracowniczego hotelu. Czysty jak kryształ śnieg skrzypi cichutko z każdym ostrożnie stawianym krokiem. Pan A. jest zmęczony i zziębnięty. Mocniej wciska się w puchową pilotkę z ogromnym napisem „Harley Davidson” na plecach, którą kupił za pierwsze zarobione pieniądze. Używka, ale zawsze. Gdzieś z najdalszych zakątków pamięci przypląwa myśl o tym, co było kiedyś. O wieczornych posiadówkach z chłopakami w chłodnym i wiecznie zagraconym garażu. O mocnych ukraińskich fajkach, które zawsze dało się jakoś skołować i puścić któremuś po okazyjnej cenie. Osiem zeta za paczkę. O kilku dziewczynach, którym nie było dane zaistnieć naprawdę, a które stawały się bohaterkami niezliczonych historii, opowiadanych ot tak, niby od niechcienia, kiedy nie było żadnych lepszych tematów do rozmowy.

Wraz z tą myślą przychodzi nagle chęć powrotu do domu. Zobaczenia na własne oczy tego, co podpowiada niestrudzona wyobraźnia. Pan A. uśmiecha się smętnie do siebie. Przecież nie może wrócić. Już by go więcej nie wzięli. I co wtedy? Kto mu da wówczas kasę na to, żeby trochę pożyć? Pierdolnięta babka i jej święte obrazki? Matka? Nie, matki już nie zamierza o nic prosić. Zresztą tutaj wcale nie jest tak źle. A to, że mało swoich, trzeba przetrzymać. Jak dostanie urlop, urwie się stąd na tydzień, dwa, kto wie, może nawet na dłużej. Spotka się z chłopakami. Przywiezie im kilka paczek dobrych papierosów. Marlboro albo cameli. Niechże i oni mają coś z tej jego ponievierki. Ucieszą się. Będą je oszczędzać tak długo, jak się da. Obracać w dłoniach, jak gdyby były drogocennymi przedmiotami. Czytać zagraniczne napisy swoją łamaną angielszczyzną. Palić od wielkiego dzwonu, z nikim się nie dzieląc. Ciekawe, jak zareagują na jego nową fryzurę? Irokez à la Robert De Niro z *Taksówkarza*. Pożartują z niego trochę i im przejdzie.

Tak właśnie myśli Pan A., kiedy mija zasłonięte kremowymi roletami witryny sklepów. Kilka ciepłych kropeł spływa po zaczerwienionych od mrozu policzkach, wytyczając jasne, błyszczące ścieżki. Ale już nie ma czasu na to, by się nad sobą użalać. Oczom Pana A. ukazuje się bowiem czteropiętrowy, przysadzisty budynek hotelu. Na niektórych kondygnacjach palą się światła. To ci ze Śląska zgotowali sobie nowy zabór i szykują się na pierwszą zmianę. Nie podarowaliby, oj nie. Śmialiby się, wytykali

palcami. „Beksa”, „pizda”, „siusiumajtek” – wołaliby. Pan A. nie może na to pozwolić. Szybko ociera zastygłe kropelki, słuwa na chodnik i zdecydowanie naciska klamkę.

Robert Popielecki
Polski

Wyskoczyłem po mleko do kawy. Spotkałem koleżankę z podstawówki. Z synem była. Czekala, aż kupię, żeby porozmawiać. I sztorcowała młodego:

– A co mnie komputery, co mnie komputery obchodzą, że czwórka? Jak mierna z polskiego? Tego się ucz! Pan Robert miał z polskiego piątki same!

Grzesio otwierał opakowanie wafelka, patrzył na moje rozciągnięte dresy, szczecinę na policzkach, desperackie próby odpalenia papierosa, patrzył też na matkę i widziałem, że to był ten moment, kiedy umierała w nim wielka część dziecięcej ufności.

Małgorzata Rybak
Są wakacje

Są wakacje – zależy dla kogo. Są upały – niestety dla wszystkich. Ale jest jedna dobra strona tego wszystkiego, że – póki co – nie ma wojny. O wojnie nie gadam często, ale w tym przypadku chcę pokazać, że choć gorąc jest, to wojny jednak nie ma. Na pocieszenie. To będzie historia o Agacie, która jest jednostką wyjątkową, niezależną, dla której nie liczy się nic poza ekstremizmem duchowym. Jedną z wielu rzeczy, które słyszałam i mogę przytoczyć, są słowa, które chyba na zawsze utkwiają mi w pamięci:

– Sorry, Gośka, ale nie mam na to wszystko siły. Do wakacji wybuchnie wojna.

Pytam Agatę czemu, w końcu o jakiegokolwiek wojnie nic nie mówią w świecie. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo, ale jestem kiepskim źródłem informacji – nie mam telewizora, na gazety polityczne mnie nie stać, a w internetach nie wchodzę na strony, gdzie podobno głoszona jest prawda o polskim narodzie.

Agata tłumaczy spokojnie:

– Nie wiem, czy u nas, czy za granicą, ale wiem, że naszych chłopów będą brali do woja, a po wyborach dziesiątego maja (kolejnych sfalszowanych) wojsko ma wyjechać na ulice, żeby nie robić zadym. Boję się, że to nie fałszywy alarm, bo na wschód Polski wyleciało tyle bombowców, że w II wojnie światowej tyle nie było. Masz kalendarz. Nie wiem na stowę, ale antysystemowcy dorwali się do takiej informacji. Nie panikuj, ale wszystko wskazuje na jakąś kichę.

I ja znowu pytam, skąd to wszystko wie. Zakładam, że ma jakieś alternatywne źródła informacji. A ona na to:

– Z książek. Dużo czytam na ten temat, od pięciu lat już. A tu masz o sprawach Ukrainy: „Na prośbę Galicjan Polacy wejdą za zgodą”, „Nad Dnieprem na przedpolach Kijowa straszliwa klęska”, „Uciekającemu niedźwiedziowi zostaną wybite kły i przycięte pazury”, „Atlantydzi grożą”, „Smok i Wyspy się cieszą”.

A ja się cieszę, że wojny jak nie było, tak nie ma. I czekam, co Agata wymyśli na jesień.

Tomasz Chwałek
Seans z wzorkiem

W kinowej toalecie prócz mnie był tylko jeden człowiek, ubrany staroświecko w marynarkę z bufiastymi rękawami. Na nogach miał lśniące trzewiki z krokodylej skóry.

Zająłem pisuar po sąsiedzku z owym jegomościem i nie lubiąc milczeć w takich sytuacjach, rzuciłem z uprzejmą obojętnością:

– Niezgorsze ma pan buciki.

Mężczyzna jakby tylko czekał, aż coś powiem na temat jego obuwia – znacznie się ożywił, bym zaś mógł lepiej przyjrzeć się jego pantoflom, postawił stopę w pisuarze i podciągnął nogawkę spodni.

Przechyliłem się nad pokrytą kafelkami ścianką działową i wbiłem wzrok w te wspaniałe buty. Nie zdążyłem nawet wyciągnąć dłoni, by ich dotknąć, gdy zdarzyło się coś niefortunnego.

Właściciel pantofli z krokodylej skóry z głośnym trzaskiem złamał w pisuarze nogę.

Nieszczęście!

Wycofałem się do swego naczynia – rozmowa była skończona. Kątem oka widziałem, jak pechowiec próbuje włożyć nogę na swoje miejsce, ta zaś, nasiąknięta wodą, nieustannie mu się wyślizguje. Tymczasem w toalecie pojawiło się kilka osób, w milczeniu przypatrujących się całemu zajściu. Obrócił się, podtrzymując nogę obiema rękami, i niepewnie postąpił naprzód.

Ludzie stali jednak bez ruchu i wbijali weń nieustępliwe spojrzenia, ani myśląc zejść mu z drogi. Nieszczęśnik zerknął na mnie bezradnie, lecz ja udawałem pogrążonego w rozmowie telefonicznej. Wyczerpała się moja dawka sympatii dla obcych i całego rodzaju ludzkiego.

Osaczony, nie widząc innego wyjścia, sięgnął do kieszeni marynarki i wydobyl plastikową torebkę z zielonkawym proszkiem. Wówczas w toalecie już kilkanaście osób bacznie śledziło rozwój wydarzeń.

Tamten zażył pospiesznie kilka garści proszku i stanął niezdecydowany.

– Weź trochę więcej – rzucił ktoś z tłumu.

Mężczyzna najwyraźniej wziął te słowa za dobrą monetę, bowiem w kilku ruchach opróżnił saszetkę. W przypływie energii rozerwał ją nawet i wyczyścił do cna językiem.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. W końcu do człowieka w butach z krokodylej skóry podeszła młoda dziewczyna, na oko uczennica gimnazjum, i powiedziała łagodnym tonem:

– Proszę się nie obawiać. Jestem prywatnym detektywem. Zdaje się, że mam tu jeszcze kilka znaczków LSD. –

To rzekłszy, wręczyła mu arkusz zadrukowany kolorową grafiką.

– Dziękuję. Jest pani bardzo miła – odparł łamiącym się głosem.

Po tym, jakby na znak, pozostali ruszyli dawać mu wszystkie substancje, jakie przy sobie mieli. I ja wcisnąłem mu do ręki kilka strzykawek z adrenaliną.

Chaos. Każdy chciał dać mężczyźnie swoje środki odurzające. W ogólnym rozgardiaszu straciłem go z oczu.

Wówczas do pomieszczenia wbiegł właściciel kina, którego znałem z widzenia. Zaalarmował go hałas i to, że na sali projekcyjnej nie było nikogo – wszyscy zebrali się w łazience.

– Co tu się dzieje – huknął.

Tłum rozstał się, ukazując mu przyczynę całego zamieszania.

Mężczyzna w bucikach z krokodylej skóry dalece się przez te kilka chwil zmienił. Leżał na ziemi w postaci mięsistej grudy, wokół której zebrała się kałuża mętnej wody.

Właściciel kina otaksował mięsną maź wzrokiem i chwycił ją ostrożnie czubkami palców, po czym włożył pod suszarkę do dłoni.

Zbyt długo niósł się po sali nieprzyjemny hałas urzędzenia. Trudno to było wytrzymać.

W końcu mężczyzna otworzył drzwi do jednej z kabin i naciągnął na nich cielistą grudę. Tu i ówdzie rozprasował ją dłońmi lub wyciągnął jakiś fafoł, po czym zwinął w rolkę, schował pod pachę i wyszedł.

Rozpoczęła się spóźniona projekcja. Film był świeży, miejscami wciąż mokry. Jako produkcja krajowa znacznie ustępował filmom zagranicznym, do czego się już zresztą przyzwyczailiśmy. Mało akcji, dialogi mętne, a cała obsada miała stanowczo zbyt wyłupiaste oczy, co stanowiło raziący błąd reżysera. Ciągnął go w górę jedynie zabawny i staroświecki, choć pewnie niezamierzony, dobór garniturów.

Janek Mikołajczyk
Stara kobieta

Dusza z ciała wyleciała,
Na zielonej łące stała.

Działki zarosły najpierw. Pokryły je grube liście bluszczu, który przyrastał codziennie o trzy – cztery metry. Posadziła go lata temu Staruszka, by sprzedawać susz na placu. Dobrze zaparzony napar miał właściwości lecznicze. Roślina zasadzona w nowym klimacie wymknęła się spod kontroli. Starzy ludzie, którzy na co dzień siedzieli w swoich małych ogródkach i domkach, walcząc z wdzierającymi się chwastami, zostali skazani na wygnanie. Wkrótce w pobliskich wsiach należało nocą zamykać okna, by krzew nie dostał się do pomieszczeń i nie zadusił śpiących. Część kraju, która zarosła, odwiedzana była przez botaników studiujących mutację rośliny oraz etnografów badających osiedla utrzymujące się z przetworów bluszczu i walczących z jego pleniem się. Ale roślina pożerała wszystko na swojej drodze, nie było nad nią władzy, obejmowała kolejne prowincje, zamieniając je w jedną wielką

zieloną połąć. Przepytywana przez etnologów i dziennikarzy, leżąca w szpitalu na drugim końcu świata Staruszka powtarzała tylko, że chciała dobrze. I tak do końca, żadnych innych słów, mówiła tylko: „Oj, chciałam dobrze”. Nikt nie wiedział, jak miała na imię, ale prosiło się, by nazwać ją Panią Śmierć.

Wiktoria Tuńska

Trick and treat(ment)

– Cukierek albo psikus! – wrzeszczy banda przebie-
rańców.

Co za bachory, cukierków się zachciało. Jazda do kościoła albo dziady odprawiać, a nie to Sralloween. O polskiej tradycji nikt nie pamięta, zamiast tego cukierki do zniczów z biedronki zbierają. Twarzy nie widać, paluchem ksiądz nie będzie mógł wskazać z ambony.

– Proszę bardzo – uśmiecham się słodko i rzucam im garści słodczy.

Macie, udławcie się. Żryjcie ten cukier, małe przebie-
rańce. Niech was piekło pochłonie, was i te wasze cukierki. Tyle słodczy, kto to widział. Do nieba nie pójdziecie, bo kto nie zaznał goryczy... Cholera. Wszystkie cukierki z koszyka mi zeżarły. Dobrze, że odłożyłam jakiegoś na czarną godzinę.

Leży tam sam, wściekle czerwony, na dnie wielkiego szklanego słoja. Kukułka – słodka i twarda. Skusiłam się i zjadłam. To był błąd. Krach. Fuck. Aua. Czy to mój ząb? Trzeba, fuck, szybko to wypluć. Aua, ale boli. Nie dziw-

ne, że boli, fuck. Kawalek czwórki utkwiał w cukierku. Teraz leży na dnie zlewu. No to zaję... Ding-dong. Znowu dzwonek do drzwi. Spieprzajcie, już mi zrobiłyście psikus, pomioty szatana. Psikus *a priori*, kurna. Dom mi jeszcze podpalcie.

Boli jak cholera. Gdybym im chociaż pożałowała, więdźmy małe, au. Już dość czasu straciłam na tych wariatów. Au, ale ten ząb. Na szczęście jeszcze nie jest tak późno. W piątkowy wieczór dentyści chyba przyjmują... Dzwonię. Pierwszy gabinet – cisza. Fuck. Halloween się zachciało. Za mało jesteście straszni na co dzień? Przekłęci dentyści. Drugi gabinet:

– Nie ma dzisiaj miejsc – mówi zblazowana sekretarka.

– A jutro? – pytam z nadzieją.

– Święto, pani...

A dzisiaj to co? Trzeci gabinet. Ostatnia szansa. Też brak miejsc. Wszyscy święci nagle, kurde. Jedni Srallo-ween, drudzy – pierwszy listopada, a potem niedziela na domiar złego. A może ktoś by mnie przyjął w tę, aua, niedzielę? Ci, co Halloween obchodzą, to też dzień święty świecą?

Dżżż... W głowie mi dudni, jakby młotem pneumatycznym przewiercili mi tego zęba. Dobra, muszę się czymś zająć... Ale najpierw jedna tableteczka, na zdrowie. Powinno przestać, auu, boleć. Poczytam. Porwie mnie dyskurs i zapomnę o tym cholernym zębie. *Precesja symulaków*? Oby było gorsze niż ból zęba.

„Disneyland – przestrzeń regeneracji zęba... – skup się – ...świata wyobraźni. Disneyland istnieje po to, by ukrywać... – aua –... że jest Disneyzębem...”.

Cholera, dość tego. Nie wytrzymam, czas na rozwiązanie ostateczne. Nitka, klamka i po sprawie. Wyrwiemy, trudno. Najwyżej się wstawi nowego, aua. Przekłęte bachory, za leczenie mi zapłacą.

Potrzebny mi tylko jakiś sznurek. Przywiążę do klamki, zawołam kogoś, otworzy drzwi i po kłopocie. Na czwórce trudno zawiązać, bo połamana i do tego boli, jak się dotknie. No, udało się. Teraz tylko do klamki. Gotowe. Wdech, wydech, ząb, aua. Nie ma co czekać.

Dryyń... To w głowie mi tak dzwoni? A nie, to telefon. Dentysta. Szkoda, że nie Wróżka Zębuszka, pieprzona też pewnie jest na urlopie.

– Jest miejsce jutro na szesnastą.

Biorę od razu, do jutra jakoś przetrzymam. Puk, puk, stukanie do drzwi. „Tylko nic nie mów, tylko nic nie mów” – przebiega mi przez myśl. Ale automatyzm jest szybszy, mija ułamek sekundy, gdy z mojej obolałej paszczy wydobywa się ciche:

– Proszę.

A to ci dopiero psikus.

Paulina Kuchta

Wszystko po 2,50

Są różne matki. Do mnie uśmiechnęła się matka promocyjna, wzięła ze sklepu „Wszystko po 2,50” i tak oto jestem. Wybrakowana jak tamte towary, chińskie podróbki wszystkiego.

Matka zrozumiała, że zrobiła błąd, kupiła wadliwy, trefny produkt. 2,50 zżarło jej całą młodość. Wysysało mleko, rosło jak na drożdżach, ale nie wrodziło się. Gdy oddawała palec, 2,50 zjadało całą rękę, aż po chorą wątrobę.

Dziecko było inne. Bało się odezwać w sklepie, gdy matka wysyłała je po zakupy. Wracało z niczym albo czymś zupełnie innym. Gubiło rękawiczkę, zawsze jedną. Matka wzięła się na sposób, odtąd rękawiczki były na sznurku. 2,50 uparcie gubiło je razem ze sznurkiem. Odmroziło ręce i uszy. Przynosiło dwóje. Wchodziło w kałuże. Wywracało się na rowerze. Miało poobdzierane łokcie i kolana. Matka żałowała, że nie wzięła 2,50 z droższego sklepu, na przykład „Wszystko po 5, 10 albo 15 zł”, jak mądrzejsze sąsiadki. Droższy towar byłby lepszy, mniej za-

wodny, może nawet na gwarancji. Matka wiedziała, czuła, ale zwrotów nie przyjmowano.

Ulubione słowo matki promocyjnej to „ale”. Słowo krótkie, zwięzłe i stanowiące komentarz na tyle wszechstronny, że zawsze pasujący. Matka miała „ale” dla wszystkich i na wszystko, na każdą okazję. Było „ale” uszczypliwe, ironiczne, zawistne, rzadziej wypowiedane z zachwytem, częściej informujące, że ma na coś wyrąbane. Dziecko rozumiało poszczególne odmiany „ale” matki promocyjnej. To słowo genialne w swej prostocie i nikt nie miał prawa się przyczepić.

Matki promocyjne wracają do domów z rumuńskimi siatkami, wypchanymi tym, co było w promocji. Myślą, że zrobiły interes życia, wyciągają nadgniłe banany, ładowały je chyba z zawiązanymi oczyma. Mają wszystko to, co zbędne i bez gustu. Rzeczy potrzebne i ładne są skrzętnie pochowane. Na później, bo szkoda. Z taką matką pogadasz tylko o okazjach, cenowych hitach.

Podczas gdy matka śmiga po supermarkecie, dziecko za 2,50 pochyla się co kilka kroków, by nie stracić oka pod każdym zbyt nisko zwisającym banerem z napisem „PROMOCJA”. Matka prycha: „Córko, po co ci oko, skoro promocji nie widzisz?”.

I już wrzuca do koszyka rękawiczki za 2 złó, które drą się po kilku wyjściach, a ciepłe są tak, że ho, ho. Palców nie odmrozisz, tylko całe dłonie.

Cyganka drze się do komórki na cały sklep. Ludzie się oglądają. Na matce nic nie robi wrażenia. To jej święto,

święto promocji, pozostaje niewzruszona. Cyganka ładuje do kosza tak szybko jak matka. Cygan wyzywa ją od szmat i najgorszych. Piękny, jedyny akcent polskości w niezrozumiałej mowie. Dziecko oddała się. Nie dla niego zakupy. Prędej garba się dorobi, pełzając pod banerami, niż je polubi. Sprzedawczyni pilnuje fajerwerków, żeby dzieciaki nie odpaliły już w sklepie. Wtedy dopiero byłoby wesoło. Może huk wystrzałów odciągnąłby matkę od półek. Nic takiego się nie dzieje.

Dziś Promocja-Zbawienie. Chrystus przychodzi, z grzechów nas oswobodzi.

– Promocja, mówisz? – rzezi matka.

– Promocja, mamuś – odpowiadam.

– A to dobrze. Jak promocyjnie, to przyjmę. Wiesz, jak jest okazja, to tylko głupi by nie skorzystał.

– Odpust zupełny, za darmo, mamu.

– Córkco, czy Tam będą promocje?

– Będą, mamu, i to jakie – zapłakałam.

Matka udała się do Raju Promocyjnego. I tylko kauf-landy, biedronki, żabki ogłosiły żałobę. Szczerze płakały. Matka przyśniła mi się jeszcze tej samej nocy: „Córko, pakuj się, chodź do mnie. Tu tak dobrze. Półki uginają się od towarów, koszyki są ze złota, najprawdziwszego, dwadzieścia cztery karaty, albo i więcej”. Matka wygładzona jakaś, jak po botoksie, szczęśliwa, pogania, żebym się śpieszyła, tyle tu dobrego na mnie czeka. Nie śpieszę się, nie o taki Raj się modliłam. Jest jeszcze miejsce na Ziemi czy w zaświatach, gdzie nie ma tych cholernych promocji?

Dariusz Wichowski

W rządach wagonów

Tego dnia metro było łaskawe. Można było stać spokojnie i obserwować współpasażerów. Stabilnie zakotwiczony przy rurce pośrodku wagonu miałem widok na wszystkie strony. Niestety, aż do Centrum nie działo się nic interesującego.

I wtedy wsiadła Ona. Wpłynęła do wagonu z grupką trzynastolatek i wkomponowała się w rozszczebiotane towarzystwo. Początkowo wziąłem ją za jedną z nich. Nie mogłem bardziej się pomylić. Była starsza, mogła mieć piętnaście – szesnaście lat. Wysoka blondynka, w okularach z grubymi oprawkami. Mała miała wyraz głębszej pogardy dla wszystkich i wszystkiego wyryty na twarzy. Maską nienawiści i nos wyżej czoła. Piękny okaz zimnej sukki w stadium larwalnym.

Obserwowałem ją z zapałem godnym Humberta Humberta, co dopiero teraz wydaje mi się niepokojące. Moja wzmożona uwaga miała jednak szybko zaprocentować.

Na Ratusz Arsenał wsiadł On. Właściwie wbiegł w ostatniej chwili, zziajany. Apollo zamknięty w ciele

szesnastolatka. Umykając przed zamykającymi się szczękami drzwi, potrafił ją. I tu stało się coś niesamowitego. Spodziewałem się, że zostanie zignorowany lub obrzucony tym zimnym spojrzeniem co my wszyscy, ale nie. Wręcz przeciwnie. Po wymianie zdawkowych przeprosin i uprzejmości maska suczy pękła, a zza fasady wyłonił się uśmiech. Szczery, co do tego nie miałem wątpliwości. Jego ślad utrzymał się na długo po tym, jak On oglądał już wiadomości sportowe na ekranie gdzieś nad moim ramieniem.

Widziałem, że Mała nie miała nic przeciwko temu, że Apollo ją delikatnie popchnął. A patrząc najpierw po ustach, a później też po oczach, nie miałyby nic przeciwko temu, by robił to wielokrotnie i dużo mocniej. Najlepiej dociskając do ściany. Nie miało znaczenia, że patrzyliby na to ludzie.

Gdy on, wciąż skupiony na ekranie, nie pamiętał już pewnie o trąconej ramieniem szczupłej blondynce w rurkach i butach na koturnie, ona pamiętała na pewno. Patrzyła gdzieś w dal i już nie miała na sobie lodowej maski. Mogła być suką, ale na tę chwilę była rozgrzana. Widział to też przyszczaty chłopak, który siedział niedaleko. Odwrócił twarz, by nie patrzeć na nich dłużej. Wiedział, że takie jak ona mogą się nim interesować tylko we śnie.

Z wrodzonej tępoty nie od razu zrozumiałem, czego byłem świadkiem. Uświadomiłem to sobie, gdy z głośnika padło „Plac Wilsona”. Wyszedłem z wagonu i stanąłem na peronie, patrząc, jak zmieniają się kolorowe światła

pod sufitem. Drzwi metra zamknęły się za moimi plecami. W pełni uświadomiona Ona i kompletnie nieświadomy On pojechali dalej.

I wtedy do mnie dotarło. Byłem świadkiem myślogwałtu. Może powinienem gdzieś to zgłosić?

O autorach

Michał Baran – urodzony w 1991 roku. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach. Obecnie doktoryzuje się w zakresie literaturoznawstwa. Jest uczniem profesora Mirosława Wójcika.

Tomasz Chwałek – urodzony w 1992 w Poznaniu. Performer, renifer, kaloryfer.

Kazimierz Fajfer – urodzony w 1999 roku. Nie jest absolwentem żadnej uczelni ani nawet szkoły średniej, bo jest jeszcze za młody. Obecnie przeżywa kryzys tożsamości, bo nie wie, co napisać w swoim życiorysie.

Edyta Gaida – urodzona w 1991 roku. Studentka filologii angielskiej i kulturoznawstwa dalekowschodniego na UJ. Założycielka sekcji Creative Writing Koła Naukowego Anglistów. Pisze po polsku i po angielsku.

Mundek Koterba – urodzony w 1992 roku. Student polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, bard, sowizdrzał, transfuturysta. Recenzent portalu e-magnifier.pl. Rozmaitości publikował też w „Ha!arcie”, „Indeksie” oraz na portalu prowincja.art.pl.

Paulina Kuchta – urodzona w 1979 roku. Bloguje, recenzuje, pisze (z różnym skutkiem, lecz tym samym zapalem). Marzy, że rozciągnie czas. Wtedy zrealizuje wszystkie plany. Nie znosi słowa „ale” i promocji.

Jerzy Łanuszewski – urodzony w 1988 roku. Znak zodiaku: czołg. Scenarzysta serii Giacomo Supernova i kilku innych komiksów. Jeden z redaktorów zina „Warchlaki”. Poeta (niepraktykujący). Mało znany.

Mikołaj Maria Manicki – urodzony w 1992 roku w Poznaniu. Debiutował w 2013 roku opowiadaniem *Syntetycznie organiczni*. Publikował dotąd w kilku antologiach, a jego publicystyka pojawiała się w gazetach literackich i lokalnych dziennikach. Nie przywiązuje się do jednego sztafażu gatunkowego. Czasem pali papierosa i słucha muzyki, i myśli, że jest na szczycie świata, ale znów stoi tylko na balkonie.

Krzysztof Marciniak – urodzony w 1972 roku. Absolwent zootechniki Uniwersytetu Przyrodniczego w Lub-

linie. Obecnie menedżer w firmie branży usługowej i rozrywkowej. Miłośnik przyrody oraz literatury *fantasy* i *sf.*

Maja Mendrychowska – urodzona w 1991 roku. Studentka kulturoznawstwa na Uniwersytecie Łódzkim. Interesuje się literaturą, grafiką i bałuckim folklorem. W wolnych chwilach gra na akordeonie, który ma złoty napis „kosmos”.

Janek Mikołajczyk – urodzony w 1989 roku w Krakowie. Studiuje.

Maciej Pawlikowski – urodzony w 1986 w Kamiennej Górze. Studiował krytykę literacką na UJ. Stale współpracuje z „Popmoderną”. Mieszka w Krakowie, żyje na Dolnym Śląsku, pracuje w Utrechcie.

Robert Popielecki – urodzony w 1974 roku. Studiował kulturoznawstwo i polonistykę na Uniwersytecie Łódzkim. Pisze wszystko – *short stories*, scenariusze komiksowe, poradniki na każdy temat. Pracuje nad debiutancką powieścią kryminalną.

Małgorzata Rybak – urodzona w 1992 roku. Jeszcze nie absolwentka kulturoznawstwa, już bywalczyni barów mlecznych i twórczyni fraszek. Była dziennikarka prasy kobiecej i kucharka w modnych lokalach. Rezyduje na Okęciu z nie swoim kotem.

Justyna Sobecka – urodzona w 1989 roku. Absolwentka filologii polskiej na UŁ, studiuje dziennikarstwo. Twierdzi, że poznała niektóre tajniki grafiki DTP. Hoduje kielki i napisała jedną książkę, która czeka na lepsze czasy.

Ola Synowiec – urodzona w 1985 roku. Absolwentka polonistyki i latynoamerykanistyki na UW. Dziennikarka, podróżniczka, miłośniczka Meksyku, w którym spędza większość roku. Autorka bloga mexicomagicoblog.blogspot.mx.

Aga Ślaska – urodzona w 1989 roku. Ukończyła socjologię i Studium Literacko-Artystyczne. Jedno i drugie na UJ. Copywriterka, publikuje na stronie szuflada.net. Po godzinach pisze krótką prozę. Na razie do szuflady, docelowo do ludzi.

Wiktoria Tuńska – urodzona w 1993 roku. Absolwentka studiów licencjackich na kierunku filologia polska (UAM). Teraz odbywa swój błogosławiony *gap year*. Interesuje się szeroko pojętą polską literaturą współczesną. Trochę pisze, częściej krytykuje.

Istvan Vizvary – urodzony w 1975 roku. Spacerowicz, domorośły filozof, autor opowiadań i literatury drobnej, łódzianin. Wbrew pozorom wcale nie pisze pod pseudonimem. Po prostu ma inne korzenie. Poza periodykami, por-

talami i antologiami, swoją twórczość publikuje też na stronie lakeholmen.blogspot.com.

Dariusz Wichowski – urodzony w 1989 roku. Żyrardowianin chwilowo mieszkający w Warszawie, domator, autor bloga dyskultura.pl, współautor strony retrokultura.pl i korposzczur. Poza pracą i próbami pisarskimi, w czasie wolnym wirtuoz bezproduktywnego marnowania czasu i koneser patrzenia w ścianę.

Zalibarek – urodzony w 1978 roku. Twórca wizualny działający na polu rysunku, wideo, grafiki i fotografii. Czasami prozaik, eseista i reżyser. Założyciel i redaktor naczelny magazynu o zabarwieniu nadrealnym „Puzdro”. W tym roku zakończyła się produkcja jego pierwszego filmu – surrealistycznej etiudy *Jutrzenka Otrzewna*. Więcej w sieci: zalibarek.net, jutrzenka.zalibarek.net, puzdro.pl.

Michał Zantman – urodzony w 1965 roku w Krakowie. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji UJ. Jest autorem m.in. *Krajobrazu z atramentowym wieczorem* (Mamiko, 2006), *Studia Parodii* (e-bookowo, 2012) oraz opowiadań: *Petycja* opublikowanego w antologii *Bękarty Wołgi* (Ha!art, 2015) i *Rysunek* („Ha!art”, nr 45).

Spis treści

Od redakcji · 5

Istvan Vizvary

Arbuz · 7

Aga Ślaska

Ballada o wnuczku, który był mądrzejszy
od dziadka, bo wnuczek miał telefon
z internetem, a dziadek miał tylko głowę · 11

Maja Mendrychowska

Biedny Zenek · 13

Zalibarek

Etykietki · 17

Justyna Sobecka

Gość w dom · 19

Ola Synowiec

Historia o dziadku i wilku · 23

Kazimierz Fajfer

Jak Wojtek został zraszczem · 25

Mikołaj Maria Manicki

Jednocześnie dwa fortepiany · 27

Edyta Gaida

Kamień z sercem · 31

Michał Zantman

Komórka · 37

Mundek Koterba

Kontrowersje wokół budowy pomnika · 39

Maciej Pawlikowski

Kosmos z dodatkami · 45

Jerzy Łanuszewski

Kto się schował w tapczanie? · 47

Krzysztof Marciniak

Mim · 49

Michał Baran

Oddalenie · 53

Robert Popielecki

Polski · 57

Małgorzata Rybak

Są wakacje · 59

Tomasz Chwałek

Seans z wzorkiem · 61

Janek Mikołajczyk

Stara kobieta · 65

Wiktoria Tuńska

Trick and treat(ment) · 67

Paulina Kuchta

Wszystko po 2,50 · 71

Dariusz Wichowski

W rzędach wagonów · 75

O autorach · 79

„Sztos” – w slangu ulicznym: szybka akcja, krótka piłka, okazja, która kusi złodzieja, przygodny stosunek seksualny. *Flash fiction* to opowiadania, które przeczytasz w mgnieniu oka. Na prędkości. *Flash fiction* to niezły sztos.

Bywamy tu na granicach opowieści. Ostatnie zdanie jest niebezpiecznie blisko pierwszego i to jeszcze bardziej wytrąca mnie z równowagi.

Juliusz Strachota

Pomysł jest świetny: zapalasz papierosa, czytasz, kończysz akurat wtedy, gdy gasisz. I to jedyny ukłon w stronę tych, którym się wydaje, że literatura to opisywanie palenia, picia i ogólnie imprezowania. Jest o wiele, wiele ciekawiej. Bardzo pokręcony i dobrze wchodzący zbiór.

Ziemowit Szczerek

ISBN 978-83-64057-90-8



9 788364 057908 >

korporacja ha!art

Cena: 0 zł